TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 18. *Chicago, Ills., 28 Października, 1886 r.* Rok III.

DAMIAN RUSZCZYC

POWIEŚĆ
— Z —
CZASÓW JANA III.

— PRZEZ —

FRYDERYKA hr. SKARBKA.

(Ciąg dalszy.)

Długo trwała ta podróżna uczta, a ponieważ już było kilka godzin z południa gdy Marya z wierzchołka kopy wróciła, słońce przeto skryło się już było za góry, gdy od stołu wstano, ażeby się zabrać do powrotu. Od miejsca tego było jeszcze trzy godziny pochodu do wsi, w której pojazdy czekać miały, tak dalece że mrok nastał, nim na dolinę zejść zdołano.

Droga szła ciągle przez las gęsty i gdzieniegdzie między sterczącemi skałami; a nastała ciemność przejmowało niewiasty trwogą, którą jeszcze powieści przewodników o zdarzonych rozbojach powiększały. Blizko już było doliny i droga wiła się ciasnym parowem z obu stron ciemnymi świrkami uwieńczonym, gdy go całe podróżujące towarzystwo przebywało; usłyszano mocne gwizdanie tak blizko, jakby który z towarzyszących ludzi był je wydał. Na to zatrwa-

żające hasło rozległ się pomiędzy skałami huk wystrzału i połysk jego odbity przez obie ściany parowu okazał struchlałym kilka zbrojnych i zamaskowanych osób, które im drogę zastąpiły. Krzyk i zgiełk powstał okropny, częstemi wystrzałami przerywany; Marya pomimo zwykłej odwagi straciła przytomność i bez zmysłów padła w ręce blizko niej stojącej osoby, a gdy się po długiem omdleniu ocuciła, miała przed oczyma widok okropniejszy dla siebie od tego, który jej omdlenia był przyczyną.

Nie było nikogo z całego towarzystwa i cichość zupełna panowała. Marya leżała na miękkej murawie; strumień snuł się z głuchym mrukiem po kamieniach; mała latarnia przy niej postawiona rzucała blask swój na dwóch ludzi w maskach, za pasem pistolety mających, z których jeden stał z założonemi rękoma nad nią, a drugi przyklęknąwszy, czerpał ręką wodę, aby ją ocucić. Na ten widok omdlała powtórnie Marya, a gdy przyszła do siebie, uklękła przed napastnikami i litości ich błagać zaczęła. Lecz oni milczeli ciągle i wskazawszy jej na migi, iż ma iść z nimi, ruszyli naprzód, wspierając lub niosąc drzącą Maryą, gdy widzieli iż ją siły odstępowały.

Długi dość pochód przywrócił jej przytomność umysłu, wystawiła sobie los okropny, jaki ją czeka i postanowiła myśleć o swojem ocaleniu.

Już wychodzili z lasu, w oddaleniu widać było światło jakby wsi jakiej, do której napastnicy zmierzali. Marya sądząc się blizką miejsca, gdzie już wszelkie ocalenie niepodobnemby było, powzięła pomysł śmiały i natychmiast go wykonać postanowiła. Ścieszka szła nad samym brzegiem spadzistego, lecz niezbyt głębokiego parowu, i przytykała z lewej strony do gęstego lasu; była zaś tak wązka, iż nią dwóch ludzi obok siebie iść nie mogło, co przymusiło napastników do oddzielenia się tak, iż jeden poprzedzał Maryą, a drugi za nią postępował. Było właśnie miejsce nieco spadziste; w przodku idący kazał jej się zatrzymać, zszedł po spadzistości na dół i wzniósł latarnię do góry, ażeby oświecić niebezpieczne miejsce. Marya udała nagłą słabość i sparła się o skałę na lewej stronie; idący za nią przyskoczył, stanął nad spadzistym brzegiem parowu i szukał pewnego miejsca do postawienia nogi, aby wesprzeć Maryą, która go z całą siłą do parowu wepchnęła, a sama z największą szybkością nazad skoczyła i w ciemności gęstego lasu, przed jednym odurzonym, a drugim pokaleczonym, napastnikami swymi, schronić się zdołała.

W pierwszej chwili ocalenia żadne uczucie przy gwałtownem wzruszeniu, wyraźnie na umyśle Maryi działać się nie zdawało; biegła naprzód gęstwiną lasu, nie domyślając się nawet dokąd wyjść potrafi, biegła szybko aż jej dech ustawał. Następnie uczuła drzenie w całem ciele, zaczęła się trwożliwie na wszystkie strony oglądać, to w lewo to w prawo, przed bielącym się pniem lub sterczącą skałą uciekać, tak iż się lękała, gdy gałązka pod nogą pękła lub liść suchy zaszeleściał; czuła że jej włosy powstały na głowie, chciała krzyczeć, lecz przezorność cichość nakazywała. Traf szczęśliwy naprowadził ją na ścieszkę, uczuła pod nogą wygodniejszy pochód, poznała, że była na jakiejś drodze. Stanęła na chwilkę, zatrzymała dech, aby słyszeć czy kto nie goni. Ta droga może prowadzić do mieszkań litościwych ludzi, albo do pieczar zbrodniarzy; te dwa sprzeczne z sobą pomysły stanęły w jej umyśle. Czy iść drogą? czy w las zboczyć? ta wątpliwość drzące jej kroki wstrzymywała.

— Boże! prowadź nieszczęśliwą! — pomyślała sobie z westchnieniem do Stwórcy i szybko naprzód biedz zaczęła drogą, która ciągle wijąc się po lesie, spuszczała się coraz bardziej ku dolinie i u samych stóp góry od razu na otwartą wychodziła niwę.

W największym biegu stanęła Marya na widok, który się jej oczom okazał. W obszernej dolinie rozsiane były, jak gwiazdy, pojedyńcze światełka na wszystkie strony z chat wieśniaczych pochodzące. Na kilka staj przed nią widać było rzęsiste światło w oknach zamku, w którym królowa mieszkała, ogród cały za zamkiem gorzał od licznych kagańców i czerwona łuna rozpościerała się ponad tem siedliskiem rozkoszy.

Ledwo że Marya rzuciła okiem na ten niespodziany widok, z którego sobie w pierwszej chwili sprawy zdać nie mogła, gdy się odezwał wesoły odgłos hucznej muzyki w ogrodzie zamkowym, biesiadującym przygrywającej.

— To tam! — krzyknęła z najżywszą radością Marya i naprzód szybko pobiegła; przebrnęła mały strumień i bez spoczynku naprzód spieszyła, wszystkie zwyciężając przeszkody....

Już coraz mocniej słychać było odgłosy weselne; coraz silniej połyskało światło kagańców. Już wpada do wsi; skupieni przed zamkiem ludzie ustępują jej z drogi, nie śmieją jej wstrzymać; lecz zdumieni poglądają na bieżącą. Przebywa oświecone przysionki, wpada pomiędzy wesołe koło tańczących, wydaje okrzyk przeraźliwy, ostatniem wysileniem i trwogi i radości będący i pada zemdlona przed królową, a całe goszczących grono strachem przejęte w wybladłej i wyrazem rozpaczy przejętej dziewicy ledwo Maryą poznaje.

ROZDZIAŁ XVII.

Często tu, prawda, czynią jakby mię kochali,
Nieraz łagodnem słówkiem serce obłąkali,
Ale to nie jest miłość......
Inaczej oni mówią, inaczej cię cenią;
Słówka pochlebne łatwo w potwarze zamienią.

Brodziński.

Gdy Marya tak szczęśliwie z niebezpieczeństwa już ocalała, wróćmy się do jej napastników, którycheśmy pomięszanych i potłuczonych w lesie zostawili.

— Co to było? — zawołał ten, który przyświecał schodzącej Maryi, gdy usłyszał krzyk zepchniętego towarzysza swego i łoskot który on upadając zrobił.

— Ratuj! krzyczał tamten z całej siły, a pierwszy nie mogąc pojąć co się stało, dla tego że nic w ciemnocie nie widział, pobiegł ścieszką do góry i ujrzał dopiero drugiego leżącego na dnie parowu, ale tak, iż grzbietem i głową sięgał do strumyka, który na dnie płynął, a nogi między gałęziami krzaków na ścianie parowu rosnących miał uwikłane. Widząc to zbiegł na dół, i ratując swego towarzysza spostrzegł, iż miał głowę lekko skaleczoną, a wydobywszy go z nader przykrego położenia, pytał się o przyczynę wydarzonego przypadku. Odurzenie rannego tak było mocne, iż nie mógł zrazu ani odpowiedzieć, ani nawet podnieść się: a gdy go towarzysz posadził, oparł głowę o ścianę parowu, zdarł szybko maskę z twarzy ażeby wolniej oddychać, schwycił się obiema rękami za głowę i wzkazał na migi miejsce bólu. Towarzysz jego zdjął chustkę z szyi, obwiązał mu głowę, otrzeźwił go wodą w rękę naczerpniętą i czekał aż zaczął mówić, ażeby pytanie swoje powtórzyć.

Pierwsze słowa rannego były:

— A ona gdzie?

— Nie wiem, może tu gdzie leży w parowie, jeżeliście się państwo oboje pośliznęli.

— Gdzie tam pośliznęli! ona mnie zepchnęła i sama uciekła.

— Więc trzeba za nią spieszyć: pójdę ja w pogoń.

— Cóż zrobisz sam jeden, ciemno wszędzie, bo ja z tobą iść nie mogę, ani też tutaj bez opatrzenia nie pozostanę. Wróćmy do naszych, naradzim się co czynić wypadnie, wszakże ona żadnym sposobem daleko uciec nie może.

To rzekłszy powstał i opierając się na swoim towarzyszu, powoli naprzód iść zaczął. Niedługo doszli do miejsca, z którego oddawna już światło do nich dochodziło. Był to dom nieco ode wsi odległy, przed którym stał pojazd czterema końmi zaprzężony i do dalekiej podróży gotowy. Przy nim było kilku ludzi, którzy dostrzegłszy zbliżających się dwóch napastników Maryi, jedni dali znak woźnicom siadania na koń, drudzy otworzyli drzwi od pojazdu, w którym dwie niewiasty już siedziały.

— Nie potrzeba! — zawołał z wyrazem niechęci ranny — wejdźmy do izby naradzić się co czynić, bo nam się nie powiodło.

Wysiadły niewiasty z pojazdu i wraz i innemi weszły do domu.

Było to właśnie towarzystwo podróżne Maryi, a mniemani zbójcy, Mondor wraz ze służącym swoim, który upatrzywszy chwilę dogodną do wykonania zamysłów od dawna knowanych, zuchwałość swoję zranieniem głowy i wielkim strachem opłacił. Przerazili się wszyscy gdy zakrwawionego i wybladłego Mondora spostrzegli, i pomięszanie było powszechne, skoro się dowiedzieli o całym przypadku.

Trudno było dać dobrą radę Mondorowi który jej zasięgał. Ciemność nocy czyniła niepodobnem ściganie, a zarazem wzbudziła obawę, ażeby Marya jakiemu nieszczęściu nie podpadła, błąkając się po lesie w miejscach niebezpiecznych, gdzie jedno usunięcie nogi życie kosztować mogło. Jakże wracać do dworu bez Maryi? bo lubo królowa przyzwoliła na jej porwa

nie, uczyniła to jednak pod tym warunkiem, ażeby jej nazwiska nie wspomniano, i tak wszystko urządzono, iżby jej nikt o spólnictwo posądzić nie mógł. Czemże usprawiedliwić to, że Marya nie powróciła, albo też jak się wytłómaczyć, jeżeli przypadkiem inną drogą do dworu wróci? W każdym razie wzbudzało się podejrzenie we wszystkich nieświadomych istoty rzeczy, dla tego że choćby przypadek cały na zbójców złożono, dziwną byłoby rzeczą, iż sama tylko Marya ich przemocy uległa. Mondor najmocniej obawiał się gniewu królowej o niezręczne wykonanie zamiarów, dla tego, że przez to mógł wzbudzić podejrzenie, którego królowa jak najusilniej unikać kazała.

Długo nie zdołano powziąść stanowczej myśli względem tego co czynić wypadało. Nakoniec uradzono: iż miano powrócić do zamku, oznajmić o napaści zbójców i o porwaniu przez nich Maryi, przypisać zranienie Mondora uderzeniu w jej obronie otrzymanemu. Powrócić zaś nie mieli wszyscy razem, tylko każdy z osobna, jakby rozpierzchnieni w ucieczce. Mondor nakoniec miał pierwszy okazać się u dworu i żądać pomocy dla poszukania i odbicia porwanej Maryi.

Przywodząc do skutku to postanowienie, wyprzedził Mondor wszystkich w powrocie: kazawszy sobie wprzódy opatrzyć lekko ranę swoję, wsiadł do powozu, który go szybko aż pod sam zamek podwiózł, a potem po pozostałe niewiasty powrócił. Jego zła gwiazda zrządziła, iż w tej samej chwili wchodził do pokojów zamkowych, kiedy z nich wybladłą i przerażoną Maryą wyprowadzano. To spotkanie zmięszało wszelkie jego plany, wprawiło go w największe pomięszanie, które powiększyło jeszcze bystre na niego spojrzenie Maryi i okrzyk trwożliwy na jego widok.

Nie mogąc iść dalej dla braku dostatecznej przytomności umysłu, i dla tego, że się nie wypadało okazać goszczącym w tym stanie, w jakim się znajdował, polecił Mondor jednemu z dworzan, ażeby oznajmił królowej: że on przypadkiem wtedy właśnie zbliżał się ku wracającym z pieszej podróży damom, gdy wystrzały napadających na nie zbójców usłyszał; że pospieszył na ich ratunek, lecz otrzymawszy ranę, która go odurzonego na ziemi zostawiła, nie wiedział jak dalece inne ocalały; lecz tem przynajmniej był uszczęśliwiony, że Marya już powróciła.

Okazanie się Maryi w tym stanie pomięszania i trwogi przerwało całą zabawę; wystąpili tancerze z koła, wszyscy skupili się około niej i zgiełk powszechny zagłuszył muzykę. Wielu było ciekawych, którzy nie mogli pojąć przyczyny jej rozpaczliwej postaci; kilka osób bliższych królowej okazywało zadziwienie i pomięszanie. Sama królowa zrazu się mocno przeraziła, lecz wkrótce przyszła do siebie i poczęła sama troskliwie zajmować się cuceniem i uspokojaniem Maryi, którą po przywróceniu przytomności naprzód mocne drzenie przejęło, a następnie łzy z powiek obficie padać zaczęły. W tym stanie słabości nie zdołała odpowiedzieć na liczne zapytania, które jej zewsząd zadawano. Królowa miała przyczyny unikania jej wyznania, dla tego nakazała milczenie ciekawym i wydała rozkaz, aby odprowadzić Maryą do jej mieszkania i przywołać nadwornego lekarza, sama zaś rzekła do obecnych:

— Nie próżna była troskliwość moja, którą przed godziną ledwie okazywałam, nie widząc panny Modrzejowskiej; przewidywałam bowiem, że o tak późnej porze, między temi skałami i lasami jacy źli ludzie bezbronnych napadać mogą. Taki zapewne przypadek musiał spotkać Maryą; szczęściem że ocalała, będzie to dla niej nauką, ażeby się tak lekkomyślnie na niebezpieczeństwo nie narażała.

Gdy to mówiła, wszedł dworzanin z owem oświadczeniem od Mondora. Królowa słuchała go niecierpliwie i z wyrazem gniewu, a gdy skończył, obróciła się żywo do marszałka dworu i rzekła:

— Mości Panie marszałku! wolą jest moją, ażeby JP. Mondor pociągniony był do odpowiedzialności za to, że się ważył oddalić ze dworu w dniu służby swojej. Rozkażesz mu Wać Pan, ażeby przez tydzień nie wychodził z mieszkania i prócz chirurga nikogo nie widział; będzie to pomocnem jego zdrowiu!

To rzekłszy, obróciła się z uprzejmym uśmiechem do gospodarza hrabiego Schafgotscha, który w tym dniu ucztę dla niej wyprawiał, przeprosiła go za przerwę zabawy przez lekkomyślność jej dworzan sprawioną, i zachęcając wszystkich do wesołości, zdołała wkrótce zatrzeć w ich pamięci to, co tak mocno ich uwagę zajęło.

Jeszcze goszczono w zamku hrabiego Schafgotscha, i lubo już ranne zorze sięgały pierwszem światłem do okien, jeszcze się nie wszyscy do spoczynku udać zamyślali, gdy szambelan królowej na służbie będący przybył na pokoje, i oznajmiwszy przyjazd spiesznego nader gońca z Polski, doręczył królowej list przez niego przywieziony.

Zmięszała się bowiem królowa, gdy na papier spojrzała: nie postrzegła bowiem ręki królewskiej, lecz jeden z senatorów polskich, wyręczając monarchę, donosił jej, iż Najjaśniejszy Pan mocno strapiony jej niebytnością, z tęsknoty popadł w chorobę, która lubo nie jest niebezpieczna, jednakże wymaga troskliwych starań, jakich sama tylko królowa dostojnemu małżonkowi swemu udzielić była w stanie. Ten list tak zmięszał królową i tak smutne w niej wzbudził przeczucia, że po jego przeczytaniu wydała rozkazy uczynienia przygotowań do najrychlejszego wyjazdu. Jakoż pomimo nie skończonej kuracyi, nie dała się odwieść od tego postanowienia, i przed końcem dnia następnego Warmbrunn opuściła, biorąc z sobą małą liczbę osób, do której i Marya za koniecznem naleganiem swojem należała. Wysłany naprzód goniec dla zamówienia przeprzęgów po drodze, ledwo mógł zdążyć przed królową, która pomimo upałów dzień i noc tak spiesznie jechała, iż koni i powozów nastarczyć jej nie można było. A gdy stanęła w Żółkwi, zastała króla nie na łóżku, jak się spodziewała, ale na koniu, zajętego właśnie przeglądaniem wojska. Słabość jego była chwilowa, i tęsknota za dostojną małżonką jedynym powodem, dla którego zastraszający list do niej napisać zalecił.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISZPANKA

— CZYLI —

ŻONA SKAZANEGO NA ŚMIERĆ.

POWIEŚĆ.

P. P. W. Hr. Rozdr.........

(Ciąg dalszy.)

— Teraz dwunasta Joachimie. Około szóstej, najrychlej o pół do szóstej będzie egzekucya. Pięć godzin mamy więc jeszcze czasu. Najprzód się posil, bo pewnie od obiadu niceś nie jadł.

— Nie chce mi się jeść, Wielmożna Pani.

— Musisz, prócz tego wystarasz mi się o to co ci powiem. Czy znasz ubiór aresztantów?

— Znam, jest ze szarego drelichu.

— Tak, długie spodnie, krótka kurtka. Do tego grube buty.

— Czy możesz mi się o to wszystko wystarać?

— Tak sądzę.

— Lecz bez zwrócenia na to uwagi. Nikt taki, coby nas mógł zdradzić, nie powinien o tem wiedzieć.

— To pójdzie.

— Powiedz jak?

— Mam tu w mieście starego, znajomego krawca.

— Czy możesz mu zaufać?

— Był zawsze uczciwym.

— Idź do niego i zamów mi ubranie. Potem dowiedz się, o której odjeżdża powóz, którym ma mąż mój jechać. O czwartej najpóźniej bądź z powrotem.

Stary strzelec poszedł. Nie pytał się wcale, w jakim celu polecenie jej miał wypełnić. Przeczuwał to, znał żelazną wolą swej Pani, i że choćby chciał robić jakie uwagi, to teraz nie był czas po temu.

Hrabina zwróciła się do służącej.

— Teraz do ciebie, Anno, mam prośbę.

— Co Wielmożna Pani rozkaże? — tak szczególnym patrzysz Pani na mnie wzrokiem!...

— Nie pytaj o nic; przynieś największe i najostrzejsze nożyczki, jakie masz.

— Na co? Pani mnie przestrasza.

— Szukaj nożyczek.

— Dziewczyna przyniosła nożyczki, Pani jej usiadła na krześle. Zdjęła czepek, który miała na głowie, a błyszczący zwój czarnych, długich włosów spłynął jej w bujnych lokach na ramiona.

— Anno utnij mi włosy!

— Wszechmocny Boże! — zawołała służąca bledniejąc.

— Dalej, zaczynaj!

— Takie piękne włosy, — „nie mogę”, i gorzkiemi zalała się łzami.

— Tak być musi, moja Anno. Nie ociągaj się, abym cokolwiek mogła położyć się na spoczynek; a tak bardzo go potrzebuję.

Dziewczyna usłuchała, przestraszona, jakby popełniała zbrodnią. A nie byłoż to prawie zbrodnią: ten rabunek bogatego stroju, całej lśniącej kobiety?

Nie, to była najwznioślejsza ofiara; — a nawet nie było to wcale ofiarą dla tej duszy szlachetnej.

Loki padały pod drżącemi nożycami jeden za drugim, a lśniąc się leżały po podłodze. Kobieta tego nie czuła, ani nie spojrzała na nie, spytała się tylko służącej:

— W tyle czy wystrzygłaś też zupełnie przy skórze?

— O, już nie ma nic, — biadało dziewczę.

— Musi być jakby wygolone, aż do czubka głowy.

— Tak też jest.

Przejrzała się w zwierciadle: Tak było! i była kontenta.

Biedna kobieta była kontenta i szczęśliwa najokrutniejszem swem oszpeceniem.

— A teraz wystaraj mi się o małe posilenie: filiżankę kawy, nic więcej.

Dziewczyna przyniosła jej kawy, wypiła ją: było i to obowiązkiem. Potem usiadła w fotelu, aby wypocząć.

— Gdybym mogła usnąć, — rzekła do służącej — obudź mnie, skoro Joachim wróci.

Udała się na spoczynek; ach, jak go też potrzebowała; i sen byłby jej bardzo potrzebny; ale czyż sen mógł przyjść na powieki przy bijącem sercu i pracującej wciąż duszy?

O czwartej rano wrócił stary strzelec i przyniósł swej pani wszystko czego żądała. Gdy wszedł do pokoju, ona już wstała i zaraz go zapytała:

— O której godzinie przychodzi powóz?

— Punkt o piątej ma stać przed więzieniem.

Obejrzała przyniesione rzeczy i była z nich zadowolnioną.

— A teraz jeszcze do ostatniej roboty. Biedny Joachimie! opuść nas, tylko na kwandrans.

Stary sługa próbował zaprotestować.

— Niech Wielmożna Pani pozwoli, że ja się ubiorę w te rzeczy.

— Ty uczciwy starcze, ze swoją siwą głową, którąby poznano na dwadzieścia kroków w koło? Nie, to ja tylko sama zrobić mogę; nikt inny wykonać tego nie potrafi. Przygotuj się do nowej wędrówki; pójdziesz ze mną.

Stary musiał się zastósować do odebranych rozkazów i wyszedł z pokoju, ciężko wzdychając. Służąca przystąpiła do Pani, aby jej pomódz przy ostatniej robocie.

Miałyżby taka miłość, wierność i poświęcenie szlachetnej kobiety pozostać bez nagrody?

Przebrania dokonano, i stary strzelec wrócił do pokoju.

— Chódźmy.

Pani i sługa po raz trzeci wyszli z hotelu. Na dworze było jeszcze zupełnie ciemno. I księżyc już zaszedł. Szli w milczeniu przez ulice miasta ku więzieniu. Ludzie już tu i owdzie się pokazywali; byli to tacy, którym było śpieszno oglądać krwawe widowisko: wszyscy dążyli na plac tracenia.

Hrabina ze strzelcem doszli do mostu przed więzieniem. Tam nie było wcale ludzi.

Zegary wydzwoniły piątą. Minutę później słychać było turkot od strony miasta, i ukazał się powóz zaprzężony paru końmi.

— Ty zaczekasz tu, Joachimie — rzekła hrabina do strzelca — dopóki jedno z nas, on albo ja z więzienia nie wyjdę. Co potem dalej ma się zrobić, już wiesz.

Strzelec został przy moście; ona wyszła na przeciw powozu.

Woźnica siedział na koźle; w powozie nikogo nie było. Zwróciła się do woźnicy:

— Czy chcecie zarobić dwa lujdory?

— Czemu nie.

— Powzólcie mi wsiąść do powozu i zawieźcie mnie na podwórze więzienia. Chciałabym chętnie zobaczyć, co się tam stanie.

— Niech pani siada.

— Ale do nikogo o tem ani słowa.

— Nikt się nie dowie.

— Tutaj pieniądze.

Woźnica otworzył drzwiczki, wsadził ją do powozu, potem drzwi zamknąwszy, wrócił na kozioł i jechał dalej. Na moście głośno z bicza trzasnął, aby przybycie swe oznajmić. Na podwórzu więzienia już go posłyszeć musiano, bo brama w ten moment się otworzyła. Pojazd wjechał na podwórze, poczem zaraz brama za nim się zamknęła. Aby patrzeć, czy kto nie siedzi w powozie, o tem nikt nie pomyślał. Woźnica zajechał przed główne drzwi więzienia; tam się już nikt o niego nie troszczył.

ROZDZIAŁ VI.

Odjazd na plac egzekucyi.

Jeszcze nie świtało, gdy z bocznych drzwi więzienia wyszedł starzec, stróż nocny, z latarnią w ręku. Była mu bardzo potrzebną, bo lampy na korytarzu i wschodach paliły się, ale już tak słabem światłem, że zaledwie o kilka kroków widać przed sobą było. W około głęboka była cisza. Kompletna noc panowała jeszcze w całej swej pełni w tym domu zgrozy, przekleństwa i rozpaczy. Wszystko spało. Stróż poszedł do kilku drzwi na kurytarzu i lekko w nie zapukał.

— Już czas wołał po cichu przez drzwi, jak gdyby nie chciał nikogo więcej przebudzić, tylko tych co wstać mieli. Wszedł na wschody, przeszedł wszystkie trzy piętra wolnym, cichym krokiem i zatrzymał się przed jedną celą. Była to cela umarłych. I tutaj lekko zapukał. Małe okienko we drzwiach się otworzyło i twarz dozórcy w niem się ukazała.

— Już czwarta — mówił stróż.

— Bogu dzięki!

— Czy śpi?

— Nie wiem, ale myślę, że śpi. Przez całą noc się nie ruszył.

— Obudźcie go, już czas. O kwandrans na piątą przyjdzie ksiądz.

On już gotów.

Stróż odwrócił się i zeszedł z góry. Dozórca okienko zamknął, poczem przystąpił do więźnia. Ten leżał spokojnie, a gdy urzędnik się do niego zbliżył, podniósł się z tapczanu. Słyszał wszystko, nie spał bowiem, tylko spokojnie leżąc, rozmyślał. Wstał teraz i przeszedł się po celi, aby wyprostować zesztywniałe członki. Chodził silnym, pewnym krokiem. Lampy w celi paliły się dość jasno i oświecały spokojne oblicze jego i pełne rezygnacyi.

Zapukano do drzwi. Dozórca spojrzał przez okienko i otworzył je w milczeniu.

— Wszedł do celi inspektor, najpierwszy urzędnik po dyrektorze, ten sam, który wczoraj żonę więźnia przyjął był i wprowadził. Zwrócił się on do skazańca z zapytaniem:

— Co pan sobie życzysz zjeść na śniadanie?

— To co zwyczajnie.

Urzędnik się zaambarasował. Dzisiaj, ostatniego dnia przed śmiercią, skazany, miał prawo podług starego zwyczaju rozporządzić sobie śniadanie podług upodobania. Urzędnik nie miał odwagi, żeby to więźniowi powiedzieć.

— Możesz pan zażądać wina — doradził surowy dozórca.

— Proszę o moje zwyczajne śniadanie.

— Czy masz pan jeszcze jakie życzenie? zapytał inspektor.

— Nie mam żadnego.

— Czy mogę panu przyprowadzić księdza?

— I owszem.

Inspektor oddalił się. Po kilku minutach przyniesiono więźniowi śniadanie, składające się z jakiejś polewki i chleba. Inspektor kazał jeszcze dodać czekoladę, ale nie dać żadnego rozpalonego trunku. Co do grzeczności i delikatnego uczucia nie ustępował on Francuzowi; nie wszyscy bowiem co służyli pod francuzkiemi rządami, stracili honor i sumienie.

Uwięziony zjadł tylko zwyczajne śniadanie, poczem kazał prosić duchownego. Za jego ukazaniem, się, dozórcy opuścili celę, zostawiwszy z nim więźnia sam na sam. Ksiądz wyglądał zakłopotany... Więzień spokojnie do niego się odezwał:

— Ojcze szanowny, jesteś człowiekiem godnym szacunku i dla tego cię zaprosiłem. Wiem, że w ostatniej godzinie będziesz mnie pocieszał.

Duchowny ten był rzeczywiście człowiekiem bardzo zacnym.

— Módlmy się, odrzekł.

— Uklękli obydwaj i modlili się po cichu — długo a — rzewnie. Gdy po ukończenin modlitwy powstali, spytał go się ksiądz:

— Czy nie masz nic do powiedzenia? Może życzyłbyś, sobie, abym jakie zlecenie wypełnił?

Więzień się namyślał.

— Tak, ojcze duchowny -- rzekł — mam jednę prośbę do ciebie. Zaraz wprawdzie nie będziesz mógł jej wypełnić, bo nie będzie ci wolno jeszcze mówić. Ale czas poniżenia Hiszpanii nie potrwa wiecznie, nie potrwa nawet zbyt długo. Hiszpański naród nie ustępuje w dzielności innym narodom, i również jak każdy inny, przeznaczony jest do wolności. Nie może długo jęczeć pod jarzmem srogiego despoty. Skruszy z pewnością wkrótce ściskające go pęta; — wypędzi dumnych Francuzów z granic pięknego kraju. To musi nastąpić w przeciągu lat niewielu. Wtenczas więc, gdy Ojczyzna nasza będzie wolną, a gdy w hiszpańskim kraju będzie można mówić po hiszpańsku — wtenczas oznajmij to głośno przed całym narodem, że dzisiaj w obronie czci, w obronie wolności Ojczyzny umarł Hiszpan odważnie na rusztowaniu — umarł dumny zaszczytem, że taką śmiercią umrzeć mu było dano.... Daj mi rękę na to, że polecenie to wypełnisz.

Duchowny ścisnął go za dłoń.

— Wypełnię, jeżeli dożyję, odpowiedział.

— O, dożyjesz, Ojcze!

Tymczasem wybiła piąta. O pół do szóstej miała się odbyć egzekucya. Gdy się słońce ukaże, o szóstej, miało już być po wszystkiemu.

Drzwi od celi umarłych szeroko się otworzyły i wszedł jeneralny prokurator króla hiszpańskiego w czerwonym płaszczu urzędowym; ale nie wyglądał w tym momencie dumnie ani dostojnie. Hiszpański szlachcic stał tu w mundurze służalczym obcego despotyzmu, naprzeciw hiszpańskiego szlachcica, ubranego w kurtkę zbrodniarza, aby go odprowadzić na śmierć. Dyrektor więzienia wszedł za nim. Żandarm i dozórcy stanęli przy drzwiach.

— Delikwencie, czyś gotów? — zapytał prokurator uwięzionogo.

— Jestem gotów — odpowiedział tenże. Pomimo tego czekać jeszcze musieli. Wielki, silny mężczyzna, w obszernym, ciemno niebieskim płaszczu, wszedł do celi. Wpuszczony przez żandarmów, przystąpił do skazańca, a obejrzawszy go ze wszystkich stron, obmacywał po piersiach, po karku i głowie. *Był to kat.*

Skazaniec nie zadrżał pod jego dotknięciem. Kat, widocznie zadowolniony, opuścił celę. Również była zadowolnioną, i nieszcześliwa kobieta zobaczywszy w lustrze, że jest pozbawioną najpiękniejszej swej ozdoby.

— Ruszajmy! — rozkazał prokurator.

— Pan możesz — rzekł, obróciwszy się do księdza — towarzyszyć skazańcowi, ale tylko aż do wschodów rusztowania.

Wyszedł on pierwszy; za nim dyrektor więzienia, dalej dozórcy, a w końcu więzień i duchowny opuścili celę umarłych. Za drzwiami połączyli się jeszcze do nich żandarmi i dozórcy i razem zeszli ze wschodów słabo oświeconych na podwórze.

Jutrzenka nie ukazała się jeszcze była na chmurnem niebie. — Było zupełnie ciemno i na podwórzu więziennem, bo palące się latarnie

słabe tylko, tak jak wewnątrz więzienia, roztaczały światło.

Przed drzwiami stały dwa zamknięte powozy; przy jednym z nich znajdował się żandarm. Za żandarmem stało kilka osób, między niemi i kobiety, zapewne żony urzędników mieszkających w więzieniu. Były ciekawe, zwyczajnie jak kobiety. Jedna z nich miała na sobie długi, ciemny płaszcz. Kaptur płaszcza zarzuciła sobie na twarz, może w celu zasłonięcia się od zimna, może też na to, aby nie być poznaną; niejedna pani bowiem nie może powstrzymać ciekawości, a okazać ją się wstydzi.

(Dokończenie nastąpi).

GAWĘDZIARZ.

CORKA CIESLI.

Podanie indyjskie.

(Ciąg dalszy.)

Pewnego dnia, kiedy bez żadnej pilności zajętą była niby pracą, wiewiórka przebiegła jej drogę. Zwierzątka te setkami włóczyły się po lesie, w pobliżu chaty, i byłaby wcale na to zdarzenie nie zwróciła uwagi, gdyby szczególność pewna nie była jej żywo przypomniała pałacu. Spostrzegła że biaława sierć zwierzątka w blasku słonecznym jaśniała jak srebro, a w całem zjawisku było coś, co ją skłoniło do postępowania za wiewiórką. Wiewiórka zdawała się być zadowoloną ze zwrócenia jej uwagi na siebie a igrając i skacząc doprowadziła ją aż do miejsca, gdzie leżało duże drzewo. Tuliza uzbierała szybko wiązkę i poszła do domu uradowana z porannej przygody.

Na drugi dzień wiewiórka zjawiła się znowu i skakała przed nią z gałęzi, aż do miejsca obfitującego w drzewo. Było to milutkie ustronie, więc nazbierawszy dość drzewa, Tuliza usiadła, zadumała się i wkrótce mocno zasnęła; kiedy się ocknęła, zdawało jej się że słyszy tuż koło uszu jakieś ciche szeptanie; obejrzała się i spostrzegła kilka wiewiórek poważnie rozmawiających.

— Ach, — mówiła jedna — w jakiż sposób doszło do tego, że nasz wróg znowu tak potężny? Pozostawiłam całe nasze plemię używające wolności, a teraz powracam i zostaję w nędznej niewoli.

Inna wiewiórka odezwała się na to:

— Przyczyną tego że Sarkasukis znalazł niespodziewanego sprzymierzeńca. Musisz wiedzieć że matka Basnak-Daua, króla wężów, odkryła że jej syn ożenił się z córką ziemi. Otóż wpadło jej na myśl, że jeżeli zdoła przez pośredników nakłonić tę ograniczoną kobietę do pytania się męża o imię, to odzyska napowrót całą władzę, jaką utraciła przez wstąpienie na tron Basnak-Daua, w królestwie jego ojca. Sarkasukis przyniósł jej wiadomość o zaślubinach syna, a przebrany następnie za przekupkę „kauri" wcisnął się do pałacu i namówił tę na ziemi urodzoną żonę do spełnienia nierozsądnego postępku. Obecnie królowa matka znowu panuje i rozsiadła się na tronie; Basnak-Dau nie ma żadnego znaczenia, a nasz prześladowca otrzymał moc pastwienia się nad nami wedle miary swej złości.

Na to rzekła trzecia wiewiórka:

— Mam dużo współczucia dla Tulizy, gdyż ocaliła mnie raz i wyrwała prawie z pazurów Sarkasukisa; on wszakże okazał się całkiem niewdzięcznym, bo Tuliza była za dobrą ażeby go

zabić, chociaż mogła, i pozwoliła mu uciec; a za ten czyn łaskawości i za dobroć dla mnie zasługuje ona na nagrodę. Czyż nie ma możliwości połączenia jej z mężem i obdarzenia zakosztowanem jej szczęściem?

— To rzecz możliwa, przemówiła pierwsza, ale bardzo, bardzo trudna. Ona nie wie naturalnie o tych wszystkich zajściach, nie może przedsięwziąść środków odpowiednich, ażeby zapewnić udanie się sprawy, nawet gdyby jej nie schodziło na odwadze. Powinnaby udać się na wschód, dopóki nie napotka szerokiej rzeki; ale nie wiem zaiste jak rzekę przebędzie, albowiem nie znajdzie ani jednego czółna a woda pełna wężów, któreby ją natychmiast pożarły, gdyby ją chciała przepłynąć. Jeżeli jednak dostanie się szczęśliwie na brzeg przeciwny, to powinna bezzwłocznie i skrzętnie szukać gniazda ptaka „huma"; skoro je wynajdzie a w niem jajka, trzeba ażeby wzięła jedno i złożyła na piersiach, bo ptak na jej piersiach musi się wylęgnąć. Następnie musi zmienić postawę, udać kogo innego i ofiarować swoje usługi królowej wdowie. Królowa jest nader podejrzliwa, zada jej dużo prac do wykonania, a jeżeli nie uskuteczni ich dobrze i zdradzi swoje ludzkie urodzenie, natychmiast porzucą ją wężom na pożarcie. Nie jestem pewna, czy jajko „humy" zabezpieczy ją całkowicie od tych niebezpieczeństw; ale jeżeli ptak wylęgnie się na jej piersi, ptak obdarzający mocą królewską wszystkich nieśmiertelnych w których jest posiadaniu, to wydziubie on zaraż oczy zielonemu wężowi obwiniętemu na szyi królowej wdowy. Gdy to się stanie, Basnak-Dau otrzyma niezwłocznie swoje panowanie i pogodzi się ze żoną, która dzięki posiadanemu ptakowi „huma" mieć będzie potęgę królowej i prawo wiedzenia imienia swego męża.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Anioł Pański.

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA

— PRZEZ —

BAKAŁARZA Z LWIGRODU.

(Ciąg dalszy.)

Przy końcu szóstego miesiąca pobytu swego w Wiedniu, dostał Kazimierz list z domu, z którego się dowiedział, że matka jego była mocno chorą, ale że już wyzdrowiała. Do listu ojca był dołączony bilecik od księdza Wojciecha, w którym go tenże uwiadomiał, że z powodu choroby matki gospodarstwo mocno podupadło, że czasem dawał się uczuć rodzicom jego nawet niedostatek. Na tę wiadomość zadrżał Kazimierz. Rodzice na niego łożyli, od ust sobie ujmowali, dla niego dawali, a teraz przez dopuszczenie Bozkie mieliby cierpieć niedostatek może najpotrzebniejszych rzeczy! Bez namysłu więc siadł, napisał list jeden do rodziców, drugi do księdza Wojciecha z prośbą: by pieniądze w liście załączone sposobem delikatnym oddał rodzicom.

Posłał on cały swój półroczny zarobek, co wynosiło do stu kilkunastu reńskich. Tyle sobie przez tak krótki czas był oszczędził; bo też robotnika jak on dobrze płacono, a Kazimierz nie wydawał pieniędzy, chyba tylko na rzeczy najpotrzebniejsze.

Wkrótce potem udał się Kazimierz w dalszą podróż. Opuściwszy Wiedeń przebiegł Niemcy południowe, dostał się potem do Francyi, a zatrzymując się w niektórych tylko miastach znaczniejszych po kilka tygodni, z końcem roku przybył nareszcie do Paryża, pewno najpiękniejszego miasta w świecie.

I uradowało go nie mało, że tu znalazł tak wielu Polaków, starych i młodych, i panów i biednych, i uczonych. Byli to wszystko emigranci, to jest ziomkowie nasi, którzy za to, że kochali ojczyznę, albo bili się za jej wolność, musieli z kraju uchodzić. A jak to bywa, że rodak z rodakiem na ziemi obcej najprędzej znajomość zabiera, tak też i Kazimierz z wielu Polakami w Paryżu ścisłą zawiązał znajomość. Poznał on ich dolą, ich myśli, ich gorące życzenia; poznał na nich co za boleść być ciągle w obczyznie, kiedy dusza i serce rwą się do ojczyzny.

Tu w Paryżu zabawiwszy rok cały wiele skorzystał i dosyć sobie pieniędzy oszczędził. Tych jednak sam nie używał, lecz odsyłał je rodzicom, bo ciągle dochodziły go wiadomości, że choroby uszczupliły ich dostatek, i że jakoś źle się wiodło poczciwemu Stefanowi.

Potem udał się do Londynu. Olbrzymie to miasto, bo jeszcze większe od Paryża, silne na Kazimierzu zrobiło wrażenie. Ogromne pracownie i warsztaty tokarskie, ruch handlowy, przemysłowy i kupiecki wiele mu podawały sposobności do zbogacenia wiedzy, do praktykowania różnych sposobów i fortelów w sztuce, do wyuczenia się dokładnego rachunków i korespondencyi handlowej. Płaca jego, nierównie lepsza nawet niż w Paryżu, dozwalała mu dosyć uzbierać pieniędzy. Chował grosz zapracowany, a skoro go przyszło wydawać nawet na najpotrzebniejsze rzeczy, długo się namyślał, nim go wydał. Lecz czemu tak oszczędnie z groszem się obchodził? Oto żeby dopomagać swoim ukochanym rodzicom. Donieśli mu byli oni że są zdrowi, i że się cieszą z dobrego jego powodzenia, ale ksiądz Wojciech ze swej strony osobno mu napisał, że tego roku grad wielką szkodę zrządził na zagonach Stefana.

Pomyślał sobie Kazimierz: biedni rodzice, nie chcieli mnie zasmucić tem doniesieniem.

I posłał im znowu dość znaczną kwotę pieniężną.

I tu w Londynie z niemałem zadowolnieniem Kazimierz wielu zastał rodaków, różnego stanu i różnego zatrudnienia. Byli to także emigranci, którzy również jak Paryzcy przechowali w swoich sercach gorącą miłość Ojczyzny, i jak tamci równie do niej nieustannie tęsknili.

Przebywszy w Londynie prawie dwa lata i nabywszy dostatecznej wprawy i doświadczenia, postanowił Kazimierz wracać do Ojczyzny i tylko jeszcze w Berlinie się zatrzymać. Tu bowiem chciał wejść w związki ze znaczniejszemi tokarniami, składami i pracowniami, aby później, skoro za pomocą Bozką wróciwszy do Ojczyzny sam na swą rękę rozpocznie pracować, miał już potrzebne znajomości handlowe. Pożegnawszy więc rodaków w Londynie, przeprawiwszy się przez morze, bez zatrzymywania się przejechał przez Belgią i północne Niemcy, aż stanął z początkiem jesieni w Berlinie.

XII.

Berlin.

Tu natychmiast wstąpił do jednej z największych pracowni tokarskich, mającej bardzo rozległe stosunki z innemi głównemi miastami Europy. Pan Sztolce, pryncypał Kazimierza, był to człowiek w swoim zawodzie bardzo biegły, bardzo ścisły i akuratny w prowadzeniu swego zakładu tokarskiego, przy którym było zatrudnionych kilkudziesięciu robotników, i znajdował się osobny handlowy kantor; zresztą był pan Sztolce rzetelnym i sumniennym, a miał sławę bogatego człowieka. Od rana do wieczora pełno go było wszędzie, to w tokarni, to w składzie, to w kantorze. On i jego cała rodzina, jak większa część mieszkańców Berlina, byli religii luterskiej. Rodzina ta składała się

z żony i córki Wilhelminy, jedynaczki, panny siedemnastoletniej.

W pierwszych zaraz dniach swojego pobytu u pana Sztolcego spostrzegł Kazimierz, iż pryncypał na niego ustawicznie uważał. Trwało to tydzień jeden, drugi i trzeci, aż się przykrzyć zaczynało Kazimierzowi to ustawiczne powiedzieć można szpiegowanie. I zapytał się towarzyszów co to ma znaczyć? Ci mu na to odpowiedzieli, że ich pryncypał z każdym nowoprzybyłym tak postępuje, chcąc i jego zręczność i rzetelność wypróbować!

Mniej trochę niemiłem, wszelako zadziwiającem było dla Kazimierza to, że nawet gospodyni domu i jej córeczka prześladowały go ustawicznie swemi oczami i rozmową. Pani Sztolcowa, kobieta w średnim wieku, dobrej tuszy, utrzymująca w domu porządek posunięty aż do przesady, mimo stan majętny tak oszczędna, że chowała wszystkie szczątki każdego obiadu, i liczyła zawsze kawałeczki cukru do cukierniczki włożone, odsiadująca każde nieomal poobiedzie na jakim koncercie przy wielkim dzbanku cienkiej kawy i pończoszce, miała serce dobre, uprzejmą była bardzo, a jeszcze bardziej ciekawą i rozmowną. Jej córeczka nie odrodziła się od matki, a jeżeli jej jeszcze nie dorównywała w gospodarności, to pewno dzięki młodemu wiekowi, w ciekawości ją przesadzała.

A przedmiot jej ciekawości był zaiste wart tego, żeby się nim zajmować. Dużo wprawdzie cudzoziemców bywało w domu pana Sztolcego; bo i lekkomyślni Francuzi, nad którymi pani domu ubolewała, iż tak prosto biegną w paszczę szatana, i z którymi dla tego wszelkiego unikała towarzystwa; bywali Anglicy zimni, dumni, nieludzcy, — spotykałeś tam i synów rozmaitych niemieckich plemion; ale syna owego kraju, który według wyobrażeń pani Sztolcowej i jej córki zamieszkały był przez samych wilków i dzikich barbarzyńców, a którego obywatele natomiast słynęli w świecie z wojen Napoleońskich i świeżej bohaterskiej walki powstańczej roku trzydziestego pierwszego, — słowem Polaka jeszcze nie było w domu Pana Sztolcego.

Tem milsze było kobiet zdziwienie, gdy w naszym Kazimierzu, pierwszym Polaku, który wstąpił do ich domu, znalazły młodzieńca dorodnej postawy, czarnego oka, rumianego lica, w malowniczym stroju, posiadającego ułożenie przyzwoite, wiadomości niemal nad stan, a do tego biegłego w języku francuzkim i angielskim. Ciekawość ich przeszła niezadługo we współczucie, mianowicie gdy panna Wilhelmina usłyszała, że pan Kazimierz znał wielu a nawet lubił niektórych poetów niemieckich. Ale jakby w ogniu zawsze stawał cały, ilekroć mu przychodziło wspominać w obec niej o naszym Mickiewiczu, Krasińskim, Zaleńskim i innych znakomitych pisarzach będących chlubą narodu polskiego. Im panie dla niego stawały się przychylniejszemi, tym przykrzej było Kazimierzowi, że ciągle trzymanym był pod więcej niż policyjnym dozorem pana Sztolcego.

Taki stan trwał pół roku, dla Kazimierza prawie już nieznośny. Aż tu razu jednego zawołał go pan Sztolce do swego kantoru i rzekł.

— Panie Berdysz! uważałem twoję pracę i rzetelność; podobały mi się; jesteś zręczny i sumnienny; robię ci więc propozycyą, abyś przyjął kierownictwo mego całego zakładu, bo ja chciałbym się trochę uwolnić od ciężkiej pracy: naznaczam ci za to płacę pięciuset talarów. Czy zgoda?

Kazimierz namyśliwszy się chwilę, czy może sumiennie przyjąć na siebie taką odpowiedzialność, zgodził się chętnie, tem bardziej, że stanęli mu przed oczami rodzice, którymby odtąd mógł lepiej dopomagać.

Naraz więc zmieniło się położenie Kazimierza. Był on teraz właściwą duszą całego zakładu, a posiadając potrzebne do tego wiadomości i będąc rzetelnym, wkrótce pozyskał nieograniczone zaufanie swego pryncypała. Ten czasami już tylko zazierał do sklepu, przepatrzył rachunki, obliczył przychód i rozchód, a potem uśmiechał się regularnie, i klepiąc Kazimierza po plecach, powtarzał:

— Dobrze, panie Berdysz, dobrze! —

Skoro nadszedł nowy rok, pan Sztolce wręczył mu w darze sto talarów i dodał:

— Wiesz pan co, pan za daleko mieszkasz odemnie, gdzieś tam koło św. Jadwigi; w mojem pomieszkaniu będzie dosyć miejsca i dla pana; wprowadź się więc do mnie, będzie i panu i nam wygodniej. Kazałem już pokój dla pana wyporządzić.

Nie było to zupełnie do smaku naszemu Kazimierzowi, ale wiedział, że odmowa wtej chwili, gdzie pan Sztolce myślał, że mu wielkie wyświadcza dobrodziejstwo, byłaby dla niego przykrą, a może i obrazą; więc po kilku dniach

zajął Kazimierz nowe pomieszkanie, i sam wnet zauważył, że mu tak daleko wygodniej mieszkać w zakładzie, bo miał i dokładniejszy przegląd i ściślejszy nadzór robót. A wybrał on był sobie zaraz z początku mieszkanie koło kościoła świętej Jadwigi najprzód dla tego, że to był kościół jedyny katolicki w Berlinie i w nim Kazimierz mógł codziennie Mszy świętej słuchać, jak niegdyś w Warszawie, a potem i dla tego, że przy parafii był jeden ksiądz Polak. Z tym godnym kapłanem, chociaż o wiele starszym od siebie, zawarł Kazimierz ścisłą znajomość, w nim pokładał wielkie zaufanie.

Tak, ilekroć smutną dostawał z domu wiadomość, że rodzice coraz to więcej na majątku podupadają, udawał się zaraz do ks. Marka, a ten ile możności pokrzepiał jego ducha, dodawał mu ufności i sił do pracy. On to także poradził mu, ażeby mieszkanie przez pryncypała ofiarowane przyjął, bo tym sposobem będzie mógł sobie więcej oszczędzić i dla pomocy rodzicom odkładać.

W nowem swem mieszkaniu urządził się Kazimierz bardzo skromnie; za całe sprzęty miał łóżko, stolik, kanapkę i kilka krzeseł. Ale za to nad łóżkiem jego wisiał śliczny obraz Bogarodzicy, uwieńczony sztucznemi kwiatami, prócz tego zdobiły jego pokoik wizerunki króla Jana III, Kościuszki, Poniatowskiego, Skrzyneckiego, w szafce zaś za szkłem widzieć można było zbiór książek, a najwięcej polskich, na stoliku krucyfiks, książeczkę do nabożeństwa i kantyczki.

Było to właśnie około Bożego Narodzenia. Wracając więc po całodziennej pracy wieczorem do swego pokoju, siadał sobie Kazimierz na kanapie, brał kantyczki do rąk, i nucił te prawdziwe narodowe, a przytem tak głęboko religijne śpiewy; przypominał sobie lube czasy w Ojczyźnie, kiedy to razem z rodzicami tak wyśpiewywał te piosenki.

W dwa dni później zapytał go pan Sztolce, kto to u niego tak wykrzykuje wieczorami? — Naturalnie, powiedział mu Kazimierz, że to on.

— Cóż to za jakieś dziwne pieśni! — rzekł pryncypał.

— To kolendy polskie, — odpowiedział młodzieniec.

— Wstydź się pan coś podobnego śpiewać; zostaw to polskim chłopom; ja tego nie lubię, — mruknął pan Sztolce i wyszedł.

Smutno się Kazimierzowi zrobiło, — uczuł, że nie jest w Ojczyznie. I wróciwszy do swego pokoju, siadł na kanapę, wziął kantyczki do rąk, i zastanowił się, co ma czynić. Oburzony zakazem pana Sztolcego, rzekł sobie:

— Niech się dzieje, co chce; niech mnie wypędzi z domu, ale obyczaju polskiego nie odstąpię! — i chciał już huknąć potężnym głosem: lecz zreflektował się i uniknął; — żal mu było utracić tak korzystne miejsce, a tem samem i możność skutecznego dopomagania rodzicom; więc nie mogąc śpiewać, czytał cicho sam dla siebie te pieśni. — Pani i panna, które się o tym zakazie pana Sztolcego dowiedziały, starały się Kazimierzowi w czasie długich wieczorów zimowych innej dostarczać rozrywki, i częściej odtąd zapraszały go do siebie. — Niechętnie wszakże Kazimierz tam chodził, bo jakoś wszystko trąciło mu obczyzną. Choć pan Sztolce był dla niego bardzo uprzejmym, choć żona jego była bardzo rozmowną, a panna Wilhelmina mile się do niego uśmiechała, i często go czarowała swym śpiewem i doskonałą grą na fortepianie, czuł on jednak w ich towarzystwie jakiś niesmak, zawsze mu tam czegoś brakło, choć nie umiał sobie z początku wytłómaczyć, zkąd to pochodziło. Opowiadał raz o tem księdzu Markowi, a ten mu na to: Wiesz, drogi rodaku, czego ci tam brakuje? Oto naszych polskich obyczajów, naszego serca, naszej polskiej swobody, naszej gościnności, naszej kochanej ojczystej mowy.

I przyznał mu to Kazimierz. Lecz mieszkając pod jednym dachem, chcąc niechcąc wchodził z rodziną pana Sztolcego w coraz to bliższe stosunki.

Zgodził się na to, żeby od nich przyjmować śniadanie, z początku za opłatą, potem i darmo; później zapraszano go na obiady w Niedzielę. Często także pan Sztolce odwiedzał go w jego pokoju, chwalił czystość i porządek, siadał na kanapie, i gawędził zwykle z fajką w ustach o różnych stosunkach handlowych zagranicznych.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISTORYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

W dniu 22 lipca 1759 ukazał się Amherst na czele 11,000 przed Ticonderoga. Komendant francuzki usłyszawszy poprzednio, że Wolfe dopłynął do Quebec (27 czerwca) nie stawiał żadnego oporu i ubiegł do wyspy Isle aux Noix a następnie do Canady.

Jen. Prideaux udał się na czele kilku tysięcy wojsk kolonialnych do Niagara, dokąd przybył w dniu 17 lutego i natychmiast rozpoczął oblężenie. W tym samym dniu znalazł przypadkowo śmierć, a miejsce jego zajął jen. Johnson. Załoga trzymała się przez trzy tygodnie, oczekując posiłków; te przybyły w liczbie 3000, lecz zostały pobite a twierdza poddała się w dniu 25 lipca. W ten sposób została przecięta francuzka linia wojskowa pomiędzy Canadą i Louisianą. Johnson nie mając dość okrętów do przewiezienia żołnierzy i jeńców, nie udał się do Montrealu jak miał uczynić, lecz pozostawił tylko załogę w Niagara i wrócił do domu.

Jen. Wolfe mający 8,000 żołnierza i 22 statki wojenne, przybył w dniu 27 czerwca do wyspy Orleans w pobliżu miasta Quebec; w dniu 30 lipca zajął Fort Levi i począł rzucać do miasta bomby, które szkodziły dolnej jego części, lecz nie dosięgały górnej; postanowił więc zaczepić obóz francuzki, co też uczynił; został jednakowoż odparty, utraciwszy 500 ludzi.

Minęły już dwa miesiące, a Anglicy nie zrobili jeszcze żadnego postępu. Na radzie wojennej postanowiono nareszcie przemocą zdobyć tak nazwane pagórki Abrahama, a wtenczas zaatakować miasto z najsłabszej jego strony. Plan wykonany w nocy udał się a nad ranem 13 września Anglicy posiadali już owe pagórki. Montcalm, dowódzca francuzki poznał niebezpieczeństwo grożące miastu, a wyprowadziwszy całą swą armię, stanął naprzeciw Anglikom. Rozpoczęła się straszliwa bitwa, w której ze strony Anglików polegli jenerałowie: Wolfe i Monckton, ze strony Francuzów zaś jen. Montcalm; Anglicy zwyciężyli. Francuzi utracili 500 w zabitych i 1000 jeńców, Anglicy 600 w zabitych i rannych.

Jen. Townshend rozpoczął natychmiast oblężenie miasta, któremu już groził głód, a w dniu po śmierci Wolfa (18 września 1758) poddał się Quebec. Kroki nieprzyjacielskie skończyły się wprawdzie na ten rok, lecz Canada nie była jeszcze podbitą, bo Francuzi posiadali jeszcze Montreal i znaczne siły wojskowe i okręty po za Quebec.

Rok 1760. Francuzi pomimo straszliwych tych klęsk nie stracili odwagi. Na wiosnę 1760 wysłał jen. Vandreuil, następca Montcalm'a, jen. Levi z 6 okrętami i znaczną armią dla odebrania na powrót miasta Quebec. Jen. Murray spotkał się z nim w Sillery, trzy mile od Quebec, gdzie nastąpiła jedna z najstraszliwszych bitew tej wojny, w której Anglicy zostali pobici, a utraciwszy całą artyleryę i 1000 ludzi, musieli się cofnąć do miasta. Levi rozpoczął oblężenie miasta i Murray chciał się już poddać, gdy na rzece św. Wawrzyńca ukazała się flota angielska z posiłkami. Jenerał francuzki cofnął się.

Zbliżała się chwila końca walki. Francuzi posiadali tylko Montreal jeszcze. Vandreuil zgromadził wszystkie siły pod to miasto. Lecz i Anglicy ściągali całe swe wojsko. Amherst przybył z 1000 żołnierzami i 1000 Indyanami, jen. Murray z Quebec z 4000 a pułkownik Haviland z Crown Point z 3000 ludźmi. Przeciwko tak przeważnym siłom nie mógł się Vandreuil bronić i podpisał w dniu 8

września 1760 kapitulacyę, oddającą Anglikom Montreal i wszystkie inne stacye wojskowe w Canadzie. Regularne wojsko zostało wysłane do Francyi a Kanadyjczykom zabezpieczono wolność osoby, własności i religii. Jen. Gage został zamianowany gubernatorem Montrealu, a Murray wrócił na czele 4000 ludzi do Quebec.

Zdobycie Canady wywołało wielką radość w koloniach angielskich, zwłaszcza też dla tego, że w długiej tej walce zostały wyniszczone prawie wszystkie plemiona indyańskie, które napadały na kolonie nowo-angielskie.

Walka między Francyą i Anglią wrzała wciąż jeszcze na morzu i w Zachodnich Indyach i została dopiero ukończoną traktatem paryzkim w dniu 10 lutego 1763, na mocy którego Francya odstąpiła Anglii wszystkie swe posiadłości w Ameryce, wyjąwszy Louisiany, która się na niejakiś czas dostała Hiszpanii; Hiszpania zaś odstąpiła Anglii w tym samym dniu Floridę, tak, że Anglia była odtąd posiedzicielką całej północnej Ameryki od zatoki meksykańskiej aż do morza lodowatego i od oceanu do oceanu.

Tymczasem niszczyli Indyanie osady karolinskie. Amherst wysłał przeciw nim (Cherokees'om) pułkownika Grant, który w roku 1761 popalił ich wsie, zniszczył pola i zabił wielu naczelników. W czerwcu tego roku prosili Indyanie o zawarcie pokoju i od tego czasu zachowywali się dość spokojnie.

Na północnym zachodzie wybuchła atoli nowa burza. Pontiac naczelnik Ottaw'ów, tajemny przyjaciel Francuzów, podjął się wypędzić Anglików z kraju położonego na zachód gór Alleghanów. Zgromadziwszy kilka z plemion Algonquin'ów, napadł niespodzianie na osady i fortece angielskie, które w przeciągu 14 dni mu się poddały z wyjątkiem Fort Pitt'u (Pittsburgu), Detroit i Niagara. Pittsburgh ocalił pułkownik Bouquet, Niagarę nie zaczepiono wcale, a Detroitowi przybył na odsiecz po rok trwającem oblężeniu pułkownik Bradstreet (w maju 1764.) Indyanie zostali prawie wszędzie pobici, a naczelnicy ich poddali się wyjąwszy Pontiac'a, który ubiegł do Illinois'ów, u których go w sposób zdradziecki zamordowano. Tak się zakończyła wojna francuzko-indyańska.

Widzieliśmy dotychczas jak pojedyńcze kolonie powstały i rosły, jak wspólne ich interesa i losy się spoiły, tak, iż w istocie już tworzyły jeden naród silny, podobny do dojrzałego męża, gotowego do obrony słusznych swych praw i jak utworzyły społeczny i polityczny system odnośny do ich potrzeb. Teraz zaś będziemy rozważali, jak kolonie znając fizyczną i moralną swą siłę, posiadając jasne zdanie o prawie i sprawiedliwości, przygotowywały się do osiągnięcia i bronienia ich.

PERYOD IV.

REWOLUCYA. WOJNA O NIEPODLEGŁOŚĆ.

Wypadki, które wywołały rewolucyą.

(1761—1775).

ROZDZIAŁ I.

Koloniści spodziewali się po ukończeniu wojny francuzko-indyańskiej, że przez lata długie będą mogli żyć w spokoju. Młody, cnotliwy monarcha (Jerzy I.) był niedawno temu (1761) wstąpił na tron angielski. Ufając w jego rzetelność, postanowili koloniści zapomnieć o niesprawiedliwościach, których dawniej doznawali i wspólnie pracować na chwałę Anglii. Lecz pogodne niebo polityczne zaćmiło się wnet i powstały nowe burze. Skarbiec angielski bowiem był wskutek wojny wypróżnionym a ministrowie chcieli go znów napełnić i to za pomocą kolonistów w Ameryce. Zamiast upoważnić władze prawodawcze do nakładania i zbierania podatków i oddania części ich Anglii, rościł sobie rząd prawo nałożenia cła na coraz bardziej się rozszerzający handel kolonii i począł surowo przeprowadzać prawa tyczące się podatków od dochodów.

Pierwszym krokiem pod tym względem była konfiskacya towarów, od których koloniści nie opłacili cła. Urzędnicy królewscy robili poszukiwania w wszystkich domach i składach, i zabierali wszystkie towary od których cła nie opłacono. Postępowanie takie wzniecił wielkie wzburzenie. Nasamprzód poczęto tak postępować w Massachusetts. Lud udał się do sądu najwyższego w Bostonie. Tu oświadczył zastępca korony Gridley, że parlament angielski jest najwyższą władzą prawodawczą i żaden poddany nie ma prawa protestować przeciw jego rozporządzeniom. Odpowiedział mu James Otis w gorącej mowie, pełnej patryotyzmu, pomiędzy innemi:

„Takim narzędziom niewoli, takiej bezeczności, będę się całą siłą i mocą, jaką mi Bóg dał, opierał aż do śmierci".

Lud przyjął mowę oklaskami. Był to pierwszy początek rewolucyi.

Młody król Jerzy tymczasem pozbył się ministra Pitt'a a słuchał rad Bute'go, szkockiego awanturnika. Następstwem było, że do parlamentu dostali się ludzie słabego charakteru, których łatwo można było przekupić. Ci też uchwalili jak najniesprawiedliwsze i najhaniebniejsze prawa przeciwko kolonistom. Uchwalono tak nazwane „prawa cukrowe" nakładające cło na cukier, kawę, indygo itd., sprowadzane z zachodnich Indyi, następnie prawo stęplowe — tak nazwane „stamp-act" — na mocy którego żaden dokument nie opatrzony w

stępel, nie był ważnym. Żadne poprzednie ministeryum nie śmiało potwierdzić podobny środek przymusowy.

Koloniści śledzili bacznie te nowe środki ich uciemiężenia. Wiadomość o uchwale prawa stęplowego wywołała niezmierne rozjątrzenie, podsycane jeszcze przez mowy Otisa i Patrycyusza Henry, członka władzy prawodawczej kolonii Virginia. Po wsiach i miastach zgromadzał się lud wzburzony i śmiało wypowiadał swe zdanie, z ambon potępiano znienawidzony system a stowarzyszenia synów wolności przygotowywały się do bronienia wolności w każdej kolonii. W niektórych miastach zaszły nawet sceny gwałtowne. Skoro stęple przybywały, palono i niszczono je; szydzono i naigrawano z tych, którym rząd polecił sprzedawanie stęplów, a gdy nadszedł 1 listopad, żaden z urzędników nie śmiał zastósować się do prawa.

Na dzień 7 października zwołano kongres kolonialny do New Yorku, gdzie podczas dwóch tygodni spisano dokładnie zażalenia, które przesłano do parlamentu i króla, prosząc o zniesienie nadużyć.

Dzień 1 listopada obchodzono wszędzie jako dzień żałoby i smutku. Następnie poczęto pustoszyć domy królewskich urzędników i palono publicznie ich obrazy. Kupcy postanowili nic z Anglii nie kupować, póki prawo stęplowe nie zostanie zniesione. Materye na ubiory poczęto znów wyrabiać po domach i aby nie zabrakło wełny, postanowiono nie jadać skopowiny. Wszystkie klasy protestowały u parlamentu, a protesty te były popierane przez kupców i fabrykantów angielskich, gdyż przemysły ich zaczęły upadać.

Tymczasem nastąpiła zmiana w ministeryum angielskiem, a Pitt, przyjaciel kolonistów zasiadł w parlamencie. Za jego staraniem zniesiono znienawidzone prawa. Kupcy i fabrykanci londyńscy cieszyli się, a Amerykanie spodziewali się lepszych czasów. Radość ta nie trwała długo, bo przy zniesieniu prawa uchwalono zarazem, że wszystkie rozporządzenia parlamentu, powinny być obowiązujące dla kolonistów. W kilka miesięcy potem uchwalono znów różne prawa, których celem było wyzyskanie Amerykanów dla napełnienia skarbca angielskiego. Dla przeprowadzenia tych praw posłano do Ameryki wojsko, które koloniści mieli utrzymywać. To wzburzyło ich jeszcze bardziej. W czerwcu 1767 uchwalono prawo nakładające cło na herbatę, szkło, papier, farby itd. przesyłane do kolonij i wiele innych praw jeszcze, które lud nieomal tak rozjątrzyły, jak prawo stęplowe. Władze prawodawcze protestowały przeciw nim, lecz ministeryum angielskie nie znając usposobienia ludności amerykańskiej, poczęło postępować z kolonistami, jak z buntownikami.

W maju 1768 przybyli nowi urzędnicy cła do Ameryki. Lud gardził nimi tak, jak niegdyś żydzi nienawidzili celników w Palestynie. Z wielką biedą można go było wstrzymać od gwałtów. W czerwcu tego roku przybył statek Liberty, należący do Jana Hancock, z ładunkiem wina z Madeiry do portu bostońskiego. Ponieważ Hancock nie chciał zapłacić cła, zabrali mu urzędnicy statek. Na wiadomość tę zbuntował się lud, spalił statek urzędników cła, napadł komisarzów i zmusił ich do opuszczenia miasta. Gubernator Bernard posłał do Halifax po wojsko, które miało w mieście zaprowadzić porządek. W dniu 27 września 1758 przybyło 700 żołnierzy, którzy z muzyką na czele przebiegali miasto. Koloniści poznali że uzbrojonemu uciemiężeniu trzeba stawić na przeciw uzbrojony opór.

Władza prawodawcza kolonii Massachusetts jako i nowoyorska stanowczo się opierały dać aby jeden cent na utrzymanie wojska, przeciw któremu lud coraz bardziej się burzył. Wciąż były pomiędzy wojskiem i ludem zatargi a nareszcie przyszło do krwi wylania. Powroźnik pewien pokłócił się z żołnierzem i wypoliczkował go; wynikiem tego była bójka między żołnierzami i powroźnikami. W kilka dni potem (5 marca) zgromadziło się około 700 ludzi i w pobliżu cła napadło na straż. Lud był uzbrojony w kamienie, pałki i t. p. Żołnierz jeden ugodzony kamieniem, strzelił do ludu, a po nim jego towarzysze. Trzech obywateli zostało zabitych i pięciu ranionych. Tłum rozproszył się, lecz wkrótce poczęto bić w dzwony, zgromadziły się tysiące ludu i byłaby nastąpiła rzeź, gdyby gubernator nie był ludu uśmierzył i obiecał wymierzyć sprawiedliwość.

W dniu 12 marca rozpoczął się proces żołnierzy, którzy strzelali. Dwóch z nich zostało uznanych winnymi zabójstwa, i skazanych na śmierć, a lud zadowolnił się i tem. Ofiary rozruchu uznano za męczenników wolności a „rzeź bostońska" nie zostanie nigdy zapomnianą przez Bostonianów.

Ministerstwo angielskie usłyszawszy o usposobieniu kolonistów, poczęło się obawiać przykrych następstw i w dniu 5 marca (w dniu rzezi bostońskiej) zażądał lord North, aby parlament zniósł wszystkie cła uchwalone w roku 1767. Radę jego usłuchano, lecz pozostawiono cło na herbacie. Kolonistom atoli nie chodziło już o mały ten podatek, lecz o zasadę. Im było równo, czy płacić cło za jeden przedmiot tylko, lub też za dziesięć.

Duch opozycyi nie ograniczył się tylko na koloniach nowo-angielskich, lecz rozszerzył się także na kolonie południowe. Przemysł północnej Caroliny zwłaszcza cierpiał wiele przez prawa angielskie. Tu utworzył się związek tak nazwanych regulatorów, którzy w r. 1771 tak byli silnymi, że otwarcie podnieśli bunt. Gubernator Tryon na czele mocnego oddziału wyszedł naprzeciw nim, rozproszył ich i kazał 6 hersztów powiesić. Wypadek ten wzniecił jeszcze bardziej płomień nienawiści w sercach kolonistów.

Dalszy ciąg nastąpi).